

Egz. archiwalny IBL

Bialik Noach i Marynka

<http://rcin.org.pl>

Edy. archiwalny IBL

1 BIBLIOTEZKA ARCYDZIEŁ LITERATURY ŻYDOWSKIEJ 1

Ch. N. Bialik

NOACH i MARYNKA

Przetłumaczył i wstępem zaopatrzył
RAFAŁ LEMKIN

Wydawnictwo „SNUNIT“
(N. Siegel) Lwów, Pasaż Hausmana 8.

L W Ó W, 1 9 2 6.



WSTĘP.

„Przenies moją duszę utęsknioną
do tych pagórków leśnych, do tych łąk
zielonych“

Tych słów nie wypowiedział wpra-
wdzie nasz wieszcz narodowy Ch. N.
Bialik, w nowelce „Noach i Marynka“,
jak to uczynił ongiś Mickiewicz w e-
popei polskiej „Pan Tadeusz“, ale
z każdego wiersza tej nowelki tchnie
głęboka tęsknota za krainą szczęścia
lat dzieciennych poety, za jego rodzin-
ną wsią „Rady“ — tam w zaciszu
gęstych lasów wołyńskich.

Poeta żydowski Bialik prze-
niknął w głąb ducha Narodu i wy-
dobył na światło to, co stanowi jego
treść, jego lepszą jaźń; budził naród
z letargu i wskazywał mu świetlaną
drogę do wolnej, szczęśliwej przyszło-
ści na własnej wyzwolonej ziemi; biczem

INSTYTUT

LITERACKICH PAN

BIBLIOTEKA 21.815

0-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 71

Tel. 26-68-63

<http://rcin.org.pl>

satyry smagał tych, którzy boskiego objawienia widzieć nie chcieli, ani też słyszeć wołania do zmartwychwstania; kochał cały naród z jego wadami i błędami, jak matka syna marnotrawnego, żył uczuciami Narodu i sam cierpiał Jego męki nadludzkie.

Wielkie gorące serce poety skupiło w sobie miłość i ból całych pokoleń i wymarzoną przyszłość ideału narodowego — także wchłaniało, aż wreszcie.... zapragnęło spoczynku.

I tak jak ongiś Mickiewicz szukał ukojenia dla swej duszy, zbolącej martyrologją swego narodu, nad brzegami Niemna, tak i Bialik powędrował w „Noachu i Marynce“ nad brzegi Teterewu, w głąb lasów wołyńskich, tam, gdzie jego rodzinna chata stała, gdzie niebo takie lazuruowe, a ludzie tak szczerzy i dobrzy...

Cudny obraz wsi wotyńskiej, przepiękne opisy przyrody, gra kolorów i światła, odtworzenie ruchu w przyrodzie, w czem Bialik celuje i co go stawia w rzędzie największych mistrzów — oto tło, na którem rozkwita pączek serdecznej przyjaźni dwojga dzieci Noacha i Marynki w nowelce wspomnianej.

Poeta wczuwa się w każde drżenie tych dwóch sprzęgniętych ze sobą serduszek, tak tkliwych dla siebie, tak szczęśliwych i upajających się swoją przyjaźnią i pięknem przyrody.

I gdy sobie przypomniemy, że to pisał właśnie Bialik, ten wielki wieszcz Narodu z „Pieśni Gniewu“ i ze „Zwoju Ognistego“, — wówczas dopiero zrozumiemy prawdziwą wielkość jego duszy, w której znalazło się miejsce dla wielkich i „maluczkich“...

Tłumacz.

ŻYCIORYS CH. N. BIALIKA

Ch. N. Bialik urodził się w r. 1873 we wsi Rady ziemi wołyńskiej z ubogich rodziców, którzy dzierżawili karczmę w tej wsi. — W dzieciństwie odumarał go ojciec, a chłopak oddany został na wychowanie do swego dziadka w Żytomierzu, gdzie dziadek oddał go do chederu. W 13. roku życia studjował samodzielnie talmud w beth-hamidraszu, wykazując przy tem nadzwyczajne zdolności. Stamtąd udaje się do słynnej podówczas szkoły talmudystycznej w Wołożynie na Litwie, gdzie obok nauk religijnych oddaje się pokryjomu także zabronionym tam naukom świeckim. W 18. roku życia udaje się do Odessy, gdzie naprzód nieudale handluje drzewem, potem zaś poświęca się pracom pedagogicznym. Jednocześnie ogłasza cały szereg poezyj hebrajskich, które odrazu przynoszą mu wielką sławę.

Dorobek literacki Bialika jest bardzo obfity. Napisał wielki tom poezyj, szereg nowel, przetłumaczył na język hebrajski Don Kiszota, Wilhelma Tella i inne znaczniejsze dzieła. W r. 1921. opuścił Rosję i po krótkim pobycie w Niemczech osiedlił się w Tel-Awiiwie w Palestynie, gdzie dotąd pracuje na polu literackim i społeczno-narodowem.

Bialika uważa się za największego poetę żydowskiego. —

NOACH i MARYNKA

Jeszcze w latach dzieciństwa, gdy tylko zostali sąsiadami, Marynka — córeczka Szkurypińczowej i jej rówieśnik Noach — jedynak Chaniny Lipy zawarli bardzo bliską przyjaźń.

W tym czasie Marynka była tak bardzo opuszczoną, tak samotną!

Bo gdy wujaszek Serafim przebywał jeszcze w tej okolicy, nie było jej tak smutno: ciocia posyłała ją czasem do niego po garnek lub sito, a ona przy tej sposobności bawiła się w piasku z synkiem Serafima, małym Makarkiem.

Sam wujaszek okazywał jej wiele życzliwości: w święta przynosił jej z rynku obwarzanki, a gdy ciocia zanadto ją biła — wtedy przychodził, by wyrwać ją z jej rąk. Lecz od czasu, gdy wujek się wyprowadził, gdy opuścił mieszkanie i podwórze, posmutniała, jakgdyby okryta szatą czarnej chmury.

Niema już wujaszka, niema Makarka, wszystko się rozwiało. Została tylko rozgniewana ciocia, wciąż sarkająca, pozostały szturchańce, głód i zamknięcie w podwórzu, jakby w ciemnym więzieniu.

Na wiosnę, gdy praca wrzała, ciocia odchodziła na basztan o świcie do swoich robotnic, a wracała późną nocą, gdy niebo iskrzyło się od gwiazd.

Wychodząc, zostawiała pod opieką Marynki całe podwórze i oschłym głosem surowo zakazywała jej, choćby na chwilę, opuścić podwórze. Posłuszna Marynka ani na krok nie oddalała się i strzegła podwórza. Na szczęście mały piesek Szkurypin właśnie wtedy z nią się spoufalił i serdecznie polubił — gdyby nie to, nie wytrzymałaby z nudów.

Jeden drogi skarb miała u siebie schowany — wiązanek zeschłych, stwardniałych obwarzanków, które jej wujaszek przed odjazdem w podarunku zostawił. Przez szereg tygodni nie odważyła się ich zjeść, a zostając sama wyjmowała je i bawiła się nimi. Każdego dnia wydawały się jej nowszymi

i coraz to świeże w nich odkrywała zalety: jakie żółciutki, okrągłutki, jak pierścione-
czki, a błyszczą, jak kamyczki. . . . Są wpra-
wdzie maluśkie, ale jakież grubiutkie, po-
patrzże, jakie grubiutkie. . . . Z trudem mo-
żna zobaczyć w nich dziureczki. Dziesięć
razy dziennie liczyła je na palcach —
i o, dziwo: zawsze wypada dziewięć nie-
mniej i nie więcej. Ale razu jednego by-
ła tak głodną, że nie mogła oprzeć się po-
kusie i zjadła wszystkie obwarzanki. Od te-
go czasu pozostał jej jedynie Szkurypin
i wspomnienia o dobrym wujku.

Samotna i stęskniona przesiadywała
całymi dniami na przyzbie pomiędzy chatą
a szeregiem drzew, a u stóp jej leżał
wyciągnięty Szkurypin, jedyne stworzenie,
które rozumiało jej serce, i było do
niej przywiązane całą istotą. Piesek leżał
koło Marynki, wpatrywał się w jej usta,
a oboje zagłądali sobie nawzajem w oczy.

Zdała, — tam gdzie są ogrody i ka-
sztany — dochodzą oderwane dźwięki pio-
senki, śpiewanej czystym, metalicznym gło-
sem przez dziewczki — robotnice — a oboje
Marynka i Szkurypin wyteżają słuch. Pies

zaczyna drzeć i wić się, nagle zrywa się na obie nogi, wywija ogonem i zwraca parę rozognionych oczu na Marynkę, jakgdyby mówił: „Pójdźmy, Marynko, i to natychmiast...“

Lecz ona bierze go na kolana i przyciska do serca: „Nie wolno, Szkurypinie, nie wolno. Ciocia nabije“...

Pewnego dnia zaczął się jakiś ruch w sąsiednim podwórzu. „Już są Żydzi“, rzekła jej ciotka.

Od tego dnia „przestrogi ciotki przy odejściu stawały się coraz surowsze — a jej szturchańce coraz to boleśniejsze. Miała się na baczności: wszystko, co tylko można było schować, zamknąć, w miarę możliwości zabezpieczyła: zamknęła piwnicę, strych, szafę, sprowadziła nawet skądś nowego psa na podwórze

„Uważaj dobrze!“ — nakazywała od tego czasu Marynce — słyszysz? A Marynka schyla głowę i słucha. Ale w tej samej chwili, gdy furtka od podwórza z drugiej strony dwa razy zaskrzypiała i przymknęła się za plecyma ciotki, Marynka już stoi obok wysokiego płotu, który przedziela oba podwórza.

Od czasu, gdy Żydzi tam się sprowadzili, stoi całymi godzinami z główką oburącz podpartą i oczyma przywartemi do szparki. Takie stanie sprawia jej większą przyjemność, niż siedzenie i nudzenie się na przyzbie.

Widzi nowych ludzi i słyszy jakieś dziwne wyrazy: „gir - gir“ — chociaż nie rozumie ani jednego słowa.

Na ziemi, z drugiej strony płotu leżą poukładane całe stosy kłoców, belek, desek, gontów, drążków; wśród nich jest dużo starych, szerniałych, są także wilgotne, błyszczące jeszcze młodą bielą, miejscami ozłoczone tłustemi, klejącemi się kroplami surowej żywicy o ostrym zapachu.

Przez podwórze przejeżdżają wozy tam i z powrotem. Między stosami desek uwija się w kapocie niski, obrośnięty człowieczek z okrągłym brzuszkiem, krząta się tam - zalany potem - stęka. — „To jest właśnie ten Żyd“ — wnioskuje Marynka z przestachem, a jednak patrzy dalej.

Czarniutki o kędzierzawej głowie chłopak, jużto włazi, jużto złazi ze zgromadzonych stosów, przeskakuje kłoce, deski,

zabawia się w woźnicę, stojąc jakby na koźle, i wywija batem w powietrzu: „Hej, hej“.

Stary w kapocie gani go, spycha ze stosów, uderza kolaniem i wypędza — a chłopak z płaczem ucieka do domu.

Po chwili słyhać w podwórzu od strony domu przeraźliwy żeński głos: „Nina Lipo, Nina Lipo!“... a potem następuje hałas i wrzawa, z czego Marynka ani słowa nie rozumie... Mały Szkurypin, który także stał obok, skacze nagle na parkan i — „hau, hau!“. Drżąca Marynka cofa się i ucieka natychmiast ze Szkurypinem z powrotem na swoje miejsce — do przyzby.

Żywy chłopak — pomyślała sobie Marynka — czy on także jest Żydem?

Po tem zdarzeniu Marynka była przez kilka dni bardzo zajęta, obsługiwała Szkurypińczową (ciotkę) i pomagała jej w robotach domowych, w ogrodzie właśnie wtedy obcinano drzewka, dlatego posługiwano się małą i pędzono ją to tu, to tam całymi dniami. Już to biegnie do piwnicy, już to wchodzi na strych, już to karmi kury i świnie — a za to jako zapłatę dostaje za każdym

razem szturchańce. U Żyda w podwórzu słycać tylko przerzucanie desek: trach — tararach!“ A Szkurypińczowa wciąż zrzędzi i szczypie bez ustanku....

Po kilku dniach, wczesnym rankiem, gdy ciocia odeszła z podwórza, stanęła Marynka znowu przy parkanie. Zaczęła mu się przyglądać, wtem spostrzeżga dziurkę w desce, powstałą przez wypadnięcie sęka. Podłużnie-okrągła dziurka, jak oko wołu, znajdowała się tuż przy ziemi, jak raz naprzeciw przyzby sąsiada. Marynka przykucnęła i patrzy przez nią. Naokoło ciemno i zupełnie cicho. Między parkanem a chatą sąsiada ciągnie się czarny paseczek świeżo rozkopanej ziemi, pokryty szeregiem malutkich drzewek, a w ziemi tkwi łopata. Nie widać tam nikogo. „Ktoby tu mógł siać?“ — dziwi się Marynka. „Cicho, ktoś idzie.“ Szkurypin ocknął się gotów zaszczekać. „Ts!“ uprzeda Marynka i uspokaja psa, potem znowu przysłuchuje się. Tam ktoś skacze, a nie idzie, skacze z drugiej strony: Hop — hop! — jak żreback coraz to bliżej, tu tu....

I naraz wskoczył do tylnej uliczki,

między parkanem a chatą, czarniutki kędzierzawy chłopak. „To on!“ — poznaje go Marynka i wstrzymuje oddech.

Chłopak promieniał radością i szczęściem, podnosi pełne garście do góry, tańczy i śpiewa „jest, jest“. Z zaciśniętych rączek, poprzez małe palce, sypią się na ziemię ziarenka grochu, słonecznika, harbuza i fasoli.

— „Warjat“ — myśli Marynka, i lekki uśmiech zawisł na jej wargach, ale wstrzymała się. Jedną ręką zasłania sobie usta, drugą Szkurypinowi. Po jego drzeniu poznaje, że on także nie może wytrzymać, i lada chwila zaszczecka.

— Co tu jest? — wyrwało się jej mimowoli z ust wprost do otworka w płocie, i odrazu pożałowała swojej porywczosci.

Chłopak lekko drgnął i rozglądał się zdumiony. Szybko schował ziarenka do kieszeni. Ujrawszy otworek, przykucnął cicho i nieco zatrwożonym wzrokiem zaglądnął tam, skąd uśmiechało się mądre, jasne oko....

Zmieszani stali oboje przez chwilę cicho.

— Kto ty jesteś? — spytał on oko nareszcie.

— Ja.... Marynka.....

— A ja jestem Noach!.....

Chwilę oboje stali pogrążeni w zadumie. Marynka cofnęła się nieco od otworka. Nojach popatrzył na nią i odezwał się, jakby z niechęcią:

— Czego tu się patrzysz? Ty?

-- Nic. Chcę widzieć, co ty tu robisz?

— Ja? ... Sieję tu....

— Chi, chi, chi, — roześmiała się Marynka i wtuliła główkę w ramiona.

— Dlaczego się śmiejesz? -- zapytał rozgniewany i obrażony Noach.

Wtem zawarczał pies. Noach natychmiast się przeprosił i wszczął z nią rozmowę o psie. On pyta — ona odpowiada. — Dosz o do tego, że zaczął ją namawiać, by przeszła z psem do niego, do tylnej uliczki,

-- Widzisz — przekonywał ją Noach — zasiewam ogród. Chodź, będziemy razem siali. Mam wszystko, przysięgam! Patrz, oto widzisz fasolę, groch, słonecznik — i zaczął wyciągać ziarenka z kieszeni.

— Nie powiesz nikomu? — rzekł nagle — to są mamusine.

Wziąłem jej pokryjomu, by mama nie wiedziała; gdy wyrosną, oddam jej stokroć tysięcy więcej... Chcesz, Marynko?

Marynka przeczy głową.

— Nie!

— Dlaczego? — pyta zmartwiony Noach.

— Tak sobie, bo w tylnej uliczce nie ma słońca.

— No i cóż z tego? — zdziwił się przestraszony Noach.

— Wyrosną chwasty, daremna twoja praca.

— E, to nieprawda — obraził się znów Noach i omal nie zaczął płakać — będzie rośło, rośło, dużo, dużo wyrośnie. Przed wieczorem dochodzi tu słońce. Sam widziałem, wiem lepiej....

Marynka nic nie odpowiedziała. Wzięła psa na kolana, głaszcze go pieścizotliwie po głowie i dmucha mu w ucho. Noach chciał jej jeszcze coś powiedzieć, ale w tej chwili rozległ się w podwórzu ze strony domu przeraźliwy żeński głos:

— Noach! Noach!

Noach podskoczył i odrazu znikł

z uliczki.

Od tego dnia oboje dzieci zostały dobrymi przyjaciółmi. Stale, gdy Szkurypińczowa odchodziła z podwórza, spotykały się pokryjomu w tem samym miejscu i przez otworek opowiadały sobie nawzajem o wszystkim, co miały na sercu.

Noach opowiadał dużo, dużo z przejęciem, z zachwytem, i z zaklęciami. Przytem policzki jego oblekają się żywym rumieńcem - oczęta błyszczą, jak ogniki. Opowiadał o swojej wiosce rodzinnej, gdzie mieszkali przedtem jego rodzice, opowiadał o przyjaciółkach, których wé wsi zostawił, i o pięknych pozostałych tam pioskach. „Ach, ach — aż oczy mruży — takie maleńkie, takie ładniutkie!...“ Opowiadał jej o jakimś lesie: bardzo a bardzo wielkim tak dużym, - przysięgał - jak cały świat. A drzewa były tam takie wysokie — strach — jak wysokie! On sam jechał przez ten las. Przy przeprowadzaniu się przejeżdżał tędy z rodzicami. Jedzie się, jedzie się i jedzie się a nie widać końca lasu. Kiedy się las skończył — tego sobie nie przypomina. Leżąc na kocu, za-

snął. A gdy się obudził i nie zobaczył już więcej lasu, zapłakał. Ach Boże, jakże płakał! Nawet krowa „Minka“ płakała. Biegła ze spuszczoną głową przywiązana sznurkiem do wozu, wydając przeciągły ryk.. me....e...e.

Tęskniła za pozostałem we wsi cielęciem. Ach, jakie to piękne było cielę! Całe czerwoniutkie z białą plamką na głowie. Przez cały dzień brykało; zawsze skakało: hop, hop!..

Piotr odkupił je za dziesięć złotych, przysięga się Noach!

A źrebę sprzedali Kuźmie. Było ono ciemne i lubiło wierzgać nogami. Tam na wsi mieli dużo krów i dużo koni.

Teraz pozostała tylko jedna krowa, właśnie „Minka“ i jeden koń, który się wabi „Smarowóz“. Oto tam stoi w stajni.

E! Marynka niema takiego „Smarowoz“....

A Marynka znowu ze swej strony opowiadała Noachowi o zajęciach w chacie i w ogrodzie. W ciemne noce sypia w ogrodzie, gdyż ogród pełen jest owoców. Sama jedna spi tam w budce-jakże się boi. Przez

całą noc „ktoś“ chodzi po ogrodzie, po ścieżkach i porusza gałęziami. Cicho stąpa tam i z powrotem. Nawet Szkurypin niepokoi się, zaszywa się obok niej głęboko w słomę, drży, zamyka oczy, udaje, że nie słyszy... Ostatnie słowa Marynka wymówiła szeptem, jakgdyby powierzała mu jakąś tajemnicę, a w tym szepcie słyszał cichy utajony strach, który odrazu udzielał się Noachowi i na chwilę ostygła jego krew gorąca...

Wśród takiej rozmowy zapytał jej Noach pewnego razu:

— Gdzie twoja matka?

— Nie wiem — szepce Marynka.

— A twój ojciec?

Marynka nie odpowiedziała.

— Czy umarł? Może jesteś sierotą?

Marynka smutno pochyliła głowę.

Noach ulitował się nad nią. Od tego dnia dzielił się z nią wszystkimi łakociami, które matka mu zwykle dawała. A gdy owoce na drzewach dojrzały, robią wzajemną wymianę: on przerzuca dla niej przez parkan kawałek bułki szabasowej, a w nagrodę za to dostaje od niej ładne jabłko

lub gzuszkę. Czasem, gdy matka daje mu smarzony „pipik“, oddziela dla niej kawałek i podaje jej przez otwór w parkanie.

Już wiele razy miał wielką chęć przejść do niej na podwórze — ale nie udawało się: podwórze było ze wszystkich stron oparkanione, nie było żadnego dostępu.

Lecz razu pewnego, gdy rozmowa toczyła się o koniach, zwierzyła się Marynka, swoim zwyczajem, cichutko, że u ciotki w stajni także stoi koń, i to nie koń — ale koniczek, a wabi się „Mucik“.

Nojach porwał się:

— Naprawdę? Maleńki? Ej, Maryneczko, pokaż mi Mucika, puść mnie do stajni....

— Nie, nie, nie — przstraszyła się Marynka — nie wolno!

— Tak, tak, tak — upiera się Noach — można!

I odrazu przełazi przez wysoki parkan.

Przestraszona Marynka cofnęła się i załamała ręce: „Zejdź, Noachu, zejdź! Ciocia będzie mnie biła Oj, gwałtu, zejdźże!“

I Noach musiał zejść.

„Czegoż ona tak się boi swej cioci?
— myślał Noach litując się nad Marynką
a oburzając się na starą „wiedźmę“; skądże
się tu Marynka wzięła? — — —

Najwięcej żałował ją w sobotę i w święta. Żwawo i wesoło przechadzał się zwykle po obiedzie sobotnim po podwórzu, wystrojony, zadowolony, a tymczasem z drugiej strony znajduje Marynkę, jak codzień, przy pracy, a wszystko na niej takie powszednie: twarz, ubiór, cała jej postać. Wydawała mu się wtedy tak samotna, tak nieszcześliwa.

„Dlaczego ona nie jest Żydówką?“ — ubolewał w swej duszy. I korzystając z chwili, gdy ciotka odeszła, rzucał jej coś z pieczywa szabasowego: pół ciastka, kawałek sztrucla i inne podobne łakocie, które przechowywał dla niej w swej kieszeni.

Za podwórzem Chaniny Lipy i ogrodem Szkurypińczowej ciągnie się zdala dzika obszerna miejscowość, jakgdyby oddzielny świat. Ogrody i kasztany otaczają ją, a oddzielona jest ze wszystkich stron parkanem. Tu często przybiegał Noach, odkąd zapoznał się z okolicą, i rwał kwaśne gruszki lub

szukał ptasich gniazd.

Pewnego dnia lipcowego udał się tam Noach. Słońce paliło bezlitośnie, aż iskrzyły się zeschnięte chwasty.

Noach wlaź na drzewo i usiadł. Już od kilku dni nie spotyka Marynki przy otworze w parkanie: ona pewnie pilnuje ogrodu, by nie kradziono dojrzałych owoców — a Noach tak tęskni za nią.

Siedząc na drzewie ogląda się — i cały ogród Szkurypińczowej rozpościera się przed jego oczyma.

Jedno miejsce w końcu ogrodu graniczy właśnie z parkanem p'acu, tak, iż dwie, trzy deszczułki są u nich wspólne. Wszystkie drzewa w ogrodzie są obwieszane owocami: czerwienią się jabłka i złocą się gruszki — ale są one daleko i dosięgnąć ich nie można. Może zobaczy Marynkę i ją przywoła? Lecz niema jej. Zamyślony zlaźł Noach z drzewa i pobiegł tam. Deski parkanu są wysokie i ostro zakończone — trudno przez nie przeleźć. „Gdyby można było oderwać deskę od parkanu — olśniła go błyskawicznie myśl — wówczas mógłby z łatwością ujrzeć Marynkę“.

I natychmiast zaczął wygrzebywać ziemię z pod deski. Pracował czem tylko mógł: trzaską, paznokciami. Nie minął kwadrans, a już wykopał mały dołek pomiędzy gruntem a parkanem, ażeby pięść mogła tam się przedostać. Wsunął rękę — aj, spiekł rękę pokrzywą. Nagle widzi, że z drugiej strony otworu wygląda psi pysk — Szkurypin! Pies zaczyna mrużyć i węszyć, trzęsie się na całym ciele, wsuwa z wielkim trudem obie łapy i część głowy do dołka, rozkopuje głębiej pazurami, nosem, paszczą, wciska się z całej siły, jakgdyby się starał dołek pogłębić. Te usiłowania jednak nie odnoszą skutku, zaczyna więc pocichu wyć, jakgdyby wołał o szybką pomoc.

W tym samym czasie pokazała się Marynka między drzewami. Pies wyprostował głowę, spieszy jej naprzeciw i ciągnie ją w stronę dołu.

— Marynko! — woła Noach uradowany.

— Noachu!!! — przeraża się Marynka i przystaje. — Co ty tu robisz?

— Marynko, proszę ciebie.....

— Odejdź i to natychmiast — przery-

wa mu Marynka cicho i z przestraczem, —
ciocia jest tu w ogrodzie, przyjdź jutro....
Szkurypinie!

Marynka gwizdnęła na psa i zniknęła
razem z nim w gęstwinie drzew.

Stroskany Noach wrócił do domu,
Przez całą noc szukał sposobu, jak usunąć
ogrodzenie, które ich rozdziela. Nazajutrz
wstał wczesnym rankiem, wy dostał z pod
łóżka ojca siekierkę, schował ją pod swoją
połęg i cicho wykradł się z domu.

Na podwórzu spotkał niespodziewa-
nie Chaninę Lipę, który stał przy studni i po-
ił konia z pochylonego wiadra.

Chanina-Lipa zmierzył go złowrogim
wzrokiem i w te słowa przywitał:

— Dokąd idziesz, nicponiu?

Noach zamiast odpowiedzi, mruknął
coś pod nosem i w mig pobiegł dalej. Nie-
ma czasu — musi prędko biec na miejsce.
Gdy tam przybył — cała okolica tonęła
w promieniach słonecznych, a w cieniu par-
kana lśniły się jeszcze kolczaste krzaki, wil-
gotne od rosy porannej.

Noach' znikł między krzakami i natych-
miast jął się roboty: ostrze siekierki wbił

pod krawędź deski, w tem miejscu, gdzie przybitą jest gwoździem do dolnej poprzeczki drążka, i całym ciężarem ciała zawisł na rękojeści. Deska lekko się poddała — trzeszcz! Odchyliła się i odkryła zardzewiały mały gwoździk, jak czarny ząbek.

Pomiędzy tą deszczułąką a drugą otworzyła się szpara na palec szeroka. Z ogrodu z pomiędzy drzew dochodził szmer: to idzie Marynka z psem. Noach naraz wysilił się: raz, dwa, trzy — krach! I deska zawisła na górnym gwoździu, niby zasłona. Noach odrzucił ją na bok.

Fala świeżego, chłodnego powietrza wiejąca z ogrodu musnęła go po rozpalonej twarzy. Obok otworu z przeciwnej strony stała Marynka z psem.

— Wyjdź! — 'mówi do niej Noach — i przytrzymaj deszczułąkę, zwisającą z twojej strony.

Marynka, razem z psem, z trudem przecisnęli się i wyszli. Słońce w tej chwili objęło jej twarz złotymi promieniami — i oślepiło jej oczy. Z doznanych wrażeń lśniącego blasku i przestworu uczuła Marynka zawrót głowy. Gdzie tylko spojrzy — błyszczą trawka. Za-



słoniła czoło ręką i uśmiech błogiej wdzięczności spłynął jej na twarz.

— Dobrze? - Maryneczko - dobrze? — zapytuje Noach, biorąc ją za rękę, szczęśliwy i wpatrzony w jej oczy.

— Bardzo, Noachu, bardzo -- odpowiada i uśmiecha się.

— Wpuścisz mnie do ogrodu, Maryneczko?

-- Wpuszczę już, wpuszczę.

— A jabłka mi dasz?

— Ile zechcesz.

— A gruszki, a śliwki?

-- Wszystko dam, wszystko...

Noach dalej nie słuchał. Oszalały z nadmiaru radości i pod wpływem młodej siły rzuca się nagle na ziemię i wywraca koziółki, podrzucając rękami i nogami

Pies skacze za nim i tak razem się przewracają.

— Marynko — przypomina sobie Noach i nagle wstaje — a kiedy pójdziemy do ogrodu?!

-Chodź za mną! — kiwnęła mu Marynka głową. Szkurypinie!

Szkurypin, który ciągle wiercił się i wę-

szył trawę, usłyszał zdaleka gwizdanie i pobiegł za Marynką i Noachem do ogrodu. Obok dołku jeszcze leżała na ziemi, jakby zapomniana, maleńka siekierka. Marynka odrzuciła deskę na bok. — Wejdz!

I wszyscy troje natychmiast zniknęli w ogrodzie. Noach biegł hałaśliwie, przedzieral się przez gęste, kolące krzaki i poprzez cieniste drzewa. Śpiew rannych ptaków, pełen radości życia, dzwięczał nad jego głową. Świeży, przyjemny chłód orzeźwił go. Biegnie — a podłużne plamy świetlne, lekkie i zwinne, jak złote myszki, ślizgają się tam i z powrotem po jego twarzy, głowie i ubraniu.

Czuje, jak one łechcą go rozkosznie i mile po twarzy. Pies wyprzedza go i biegnie naprzód; wydaje się, że zaplątał się w sieć utkaną ze światła i cieni i nie może się wydostać. Pod brzemieniem jabłek chylą się gałęzie, i uderzają w głowę Noacha, zrywając z niej czapkę. Gdziekolwiek spojrzy — tylko jabłka i jabłka: na górze jabłka, na dole jabłka, wszędzie dokoła jabłka. Tam koło budki leżą na słomianem pościu mniejsze i większe kupki delikatnych i won-

nych jabłuszek....

Z wiśniowych drzew spoglądają przykryte liśćmi zapomniane, samotne, zczerniałe wiśnie, spoglądają cicho i zalotnie, jak żywe oczy; a tam znowu w ukrytych gałęziach z pod zielonego liścia spogląda malina ukradkiem na szeroki świat.

To wszystko upoiło Noacha. Chłód cienia, upajająca woń owoców i świergot ptaków — odurzyły go, prawie oszołomiły. Biegnie zwinnie i swobodnie od drzewa do drzewa, zrywa jabłka, jedno nadgryza, drugie odrzuca, inne chowa do kieszeni.

Marynka nic złego mu nie mówi — owszem jeszcze pomaga mu wybierać co najdojrzalsze i najpiękniejsze i sama wypycha mu kieszenie.

Gdy Noach zgrzany, zadyszany i uszczęśliwiony wrócił wreszcie do domu z kieszeniami pełnymi jabłek, gruszek i śliwek — spotkał się koło bramy z ojcem. Szczęście, że go Chanina Lipa nie zauważył: pomagał właśnie wtedy jakiemuś wieśniakowi wyciągnąć z podwórza wóz naładowany deskami. Noach niespostrzeżenie wślizgnął się do izby. Cichutko położył z powrotem siekierkę pod

łóżko. A dla jabłek, gruszek i śliwek znalazł już miejsce w stajni na strychu, gdzie umieścił je w sianie — aż przyjdzie na nie czas...

Wreszcie raz wkradł się Noach na podwórze Szkurypińczowej. Marynka wpuściła go pokryjomu i ostrożnie, aby się ciotka, broń Boże, o tem nie dowiedziała.

W pierwszej chwili, gdy znalazł się na podwórzu Szkurypińczowej, otworzył się przed nim jakby nowy świat. Niezwłocznie pobiegł do stajni, aby zobaczyć „Mucika“: część tej stajni jest przeznaczona dla świń. Uderzył weń ostry zapach ciepłego nawozu. W półmroku stajni odnalazł oczyma „Mucika“, który chrupiąc stał nad żłobem.

Noach stanął przykuty do miejsca: Oj, oj „Muciczku“! — pieści go cichym, miękkim głosem, nie mogąc nasycić się jego widokiem. Od stajni pobiegł do parkanu, i na palcach stojąc, zaglądnął przez otwór na podwórze ojca. O, jakże dziwnem mu się to wydawało, że to on właśnie stoi na podwórzu „gojki“ i patrzy na ojca. Gdyby o tem tato z mamą wiedzieli!...

A podwórze ojca przybrało teraz w jego

oczach zupełnie inny wygląd. Wszystko tam teraz coś nie tak, jak przedtem, coś się tam zmieniło, i przybrało inny widok.

— Szs . . . a, oto stoi sam tato.

„Chi — chi — chi“ — zaśmiał się Noach pocichu wtulając głowę w ramiona — tato krząta się tam i o niczem nie wie. Jak zechcę, pokrzywię mu się i wystawię język — kuku! kuku!

Zdziwiony Chanina-Lipa odwraca głowę — a przestraszony Noach ucieka.

Rozpoczęły się deszcze, a wkrótce i śniegi. Ciotka przesiaduje całymi dniami w izbie, a Marynka nie wychodzi ani na krok z domu. Drży przed złym wzrokiem ciotki. Gdy ciotka patrzy, nie przystępuje nawet do parkanu. A gdy nawet dojdzie ją czasem przez szparę ciche wołanie Noacha — udaje, że nie słyszy. Ze sadu niema już też dostępu do placu: zaspasy śniegu przeskadzają. Śnieg zasypał cały plac tak wysoko, że aż sięga po kolana. Nie można się przedostać. Jakby białe morze!

Po pesach Chanina Lipa oddał Noacha do chederu, i Noach ma już całkiem inne

zajęcia.

Ciągną się dni i tygodnie — niema Noacha. Marynka wyczekuje go w sadzie, szuka go na placu — niema i niema. — Gdzie się podział Noach? Dlaczego nie przychodzi? — pyta Marynka siebie samej. ...

I znowu nastąpiło lato.

Marynka siedzi zadumana, a wokoło niej panuje głęboka, letnia cisza. Nagle rozległ się na sąsiednim podwórzu piskliwy głos kobiety: Noachu, Noachu!! Marynka zadrżała, podbiega szybko do parkanu. Już po raz tysięczny szuka tam choćby najmniejszej szparki. Szkurypin wyczuwa jej pragnienie i pomaga jej w szukaniu. Biegnie szybko naprzód, opiera się co chwila o parkan przednimi łapkami, drapie i grzebie pazurami, węszy, węszy. Niczego nie znajdując, wraca Marynka pomaleńku do przyzby bierze Szkurypina na swe kolana, patrzy mu w oczy, tuli psa mocno do siebie, przyciska go i drżąc na całym ciele pyta:

— Szkurypinie, gdzie jest Noach?....

parts Cherwinski

Twoem wam
por. plomine

mes, Wychođ

20 rtp. (Pozkole)

3 god. Staszew

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

Wydawnictwo „SNUNIT“ Lwów.

- Księga Jizkor .. Dr. M. Bienenstock 2. zł. gr.-
Dybuk Sz. Anski 2. „ „ —
Nerwowość u Żydów .. Dr. R. Becker -.75 „
Misznaioth Berachot . . Prof. Bernfeld
Noach i Marynka . . Ch. N. Bialik -.50 „
„Świt“, Biblioteczka dla dzieci 1 - 4 a -.15 „
Morris Rosenfeld . . L. Schächner -.40 „
Traktat Aboth, tekst hebr. z tłum. polsk.-.50 „

KSIĘGARNIA
NAFTALI SIEGEL Lwów
PASAŻ HAUSMANA 8.

Konto P. K. O. 152.253.

<http://rcin.org.pl>

F

21.815